

się do bufetu, wróciło do hali i podeszło do niskiego mezczyzny, który w przebraniu oficera boerskiego stał oparty na wielkiej szabli i przyglądał się obojętnie tańczącym; jemu oddało domino otrzymaną kopertę.

Rola agentki była skończona. Mogła już odejść. Boer podał jej rękę i odprowadził do przedsiönka, gdzie żegnając się z nią, złożył jej głęboki ukłon, jak jakiej wybitnej osobistości. Jednocześnie zwrócił się do dwóch Chińczyków, którzy przy wejściu oglądali uważnie kilku spóźnionych gości.

— Jest? — zapytał.

Touffe odpowiedział:

— Żadnego domina niebiesko-żółtego nie było. Lapipe nie mógł ukryć zdziwienia.

— Napewno?

— Z pewnością... czyż nie prawda, Brisemiche?

Drugi Chińczyk potwierdził zdanie swego kolegi.

— Z wszelką pewnością nie było.

— To niemożliwe! — złościł się Lapipe. —

Czyżby w ostatniej chwili baronowa cofnęła się?... Przecież Fraskopelly przyszedł. Cóż to może znaczyć? Spojrzał na zegarek.

— Dwunasta!... Nic jeszcze nie ma straconego... może jeszcze nadejść... I zwracając się do agentów:

— Uważajcie... a jak tylko przyjdzie, dajcie mi znać! Będę w palarni... Przy ostatnich słowach podniósł głos, tak iż były porucznik dosłyszał je.

Zjawila mu się wtedy nowa myśl. — A to — szepnął do siebie — byłaby komiczna scena!...

Gdy Lapipe wchodził do palarni, była ona zupełnie pusta. Oddawna już na stole nie było ani jednego papierosa. Goście zabrali wszystko. Inspektor zaczął szukać po kieszeniach, lecz zapomniał swej papierosnicy. Zrobił zawiedzioną minę, którą dojrzał wchodzący mandaryn.

— Gorzej niż na przyjęciu w ratuszu — odezwał się wesoło — nic nie pozostawili!...

Przy słowach tych wyciągnął srebrną papierosnicę i podał ją otwartą Lapipowi.

— Pozwoli pan papierosa? — zapytał uprzejmie.

— Chętnie, dziękuję.

— Są one z jasnego tytoniu...

— Właśnie ten najchętniej palę. Ta uprzejmość zbliżyła do siebie obu mezczyzn. Usiadłszy, zaczęli rozmawiać.

— Wspaniała zabawa — zaczął mandaryn — ambasador istotnie dokonał niezwyklej rzeczy... ta zamiana ogrodu na pałac letni cesarza chińskiego, wypadła cudownie!...

Lapipe, który w milczeniu dotąd zaciągał się papierosem, odezwał się nagle, jakby mówił do siebie:

— To dziwne... ten zapach przypomina mi coś, lecz co?... Nie pamiętam...

W chwili tej w drzwiach ukazała się pasterka, idąca pod rękę z rycerzem rzymskim.

Mandaryn podniósł się natychmiast. — Ależ to jest hrabina Bolatinolle! Zwracając się do Lapipa, dodał:

— Pozwoli pan na chwilkę, zaraz wrócę... Lecz gdy wyszedł, nie pomyślał nawet o pasterce i skierował się wprost do wielkiej sali, gdzie zaczął szukać szejka marokańskiego.

Po chwili ujrzał Newtona, który przeciskał się wśród tłumu, pragnąc odgadnąć, w jakim przebraniu ukrywa się inspektor francuski. Gdy zbliżył się do niego, pociągnął go dyskretnie za rękaw i szepnął:

— Panie szefie!...

Newton zadrżał. Czyżby Opatrzność jeszcze raz przychodziła mu na pomoc? Już teraz musi wykorzystać w zupełności to szczęśliwe dla siebie *qui pro quo*.

Zdołał jednak pohamować swe wzruszenie i to-nem zupełnie naturalnym odparł:

— I co?

— Mamy go... jest w palarni... jako boer... Doskonale!...

— Idę uprzedzić innych i schwytały go... Dobrze, niech pan idzie prędko...

Podczas gdy mandaryn oddalał się, detektyw, rozplamieniony z radości, rzekł do siebie:

— Zanim on zbierze swych towarzyszy, zabójca pani Aesthon będzie już w mych rękach.

Pobiegł raczej, niż poszedł do małego salonu, w którym znajdował się Lapipe. Na progu zatrzymał się niespodzianie. Jakaś specjalna woń dymu podrażniła mu nozdrza.

— Brackmonds! — szepnął do siebie — trudno, bym go nie poznał... ma on zapach, który nie zwie-dzie żadnego palacza!...

Nie mógł już wątpić. Tytoń ten rozwił ostatnie jego wahania. Człowieka, którego miał przed sobą, widział już w hotelu „Księcia Portugalskiego“, był to zabójca z Nowego Jorku, wymykający się z niezwykłą zręcznością do tej pory z rąk policyi francuskiej.

Lapipe, siedząc najspokojniej w fotelu, puszczał w górę wielkie kłęby dymu i myślał, co mu zapach tego tytoniu przypomina, gdy nagle zjawił się przed nim szejka marokański z rewolwerem w rękę i krzyknął:

— Poddaj się!

W przerażeniu, jakie ogarnęło inspektora, spadła mu z twarzy maska.



Hrabia Fraskopelly, jako biały zakonnik skierował się do domina niebiesko-żółtego.

— Lapipe! — zawołał detektyw, opuszczając rewolwer i zdejmując swą maskę.

— Newton! — zdumiał się Lapipe — co się stało?... Niedawno ja pana chwytalem, a teraz pan mnie chce aresztować?

Mimowoli, choć nie miał do tego najmniejszej chęci, detektyw roześmiał się, odpowiadając:

— A więc skwitowaliśmy się!...

— Lecz cóż do dyabła, drogi kolego — zapytał Lapipe — pan tutaj robi?

— Zapewne to samo, co i pan — odparł zawstydzony trochę Newton...

— Wątpię.

— Pan nie szuka zabójcy z Nowego Jorku?

— Zabójcy z Nowego Jorku? — przerwał inspektor — ależ on został aresztowany w Rzymie... przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość w dyrekcyi...

Detektywowi zdało się, iż nogi mu się uginają. Więc nagroda, dla której tyle trudów poniósł, przepadła dla niego zupełnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko z zwieszonym nosem wrócić do Ameryki.

— A ja przed chwilą jeszcze myślałem, że mam już opryszkę, któremu pan pozwolił uniknąć z ulicy Biot!

— Szczura hotelowego?

— Ależ nie... Bardzo mi przykro, ale muszę powiedzieć, że pan wtedy wszedł na fałszywą drogę... szczer hotelowy nie był zabójcą, lecz ofiarą...

— Jakto? Co pan mówi? — zapytał Lapipe zdziwiony.

— Jegomość, którego pan śledził od wylądowania z „Starego Czarnego Psa“, wywiódł zręcznie pana w pole; na miejscu swoim zostawił jakiegoś opryszkę, który istotnie chciał go w nocy zabić dla grabieży.

— Jest pan tego pewny?

— Najzupełniej.

Opowiedział mu przytem w krótkich słowach swe badanie na ulicy Biot.

— Do stu tysięcy dyabłów! — zaklął Lapipe podczas tego opowiadania, które mu dopiero otworzyło oczy na całą sprawę.

— Tego tylko nie rozumiem — dodał Newton z pewną ironią — że pan dał się na to złapać.

Lapipe, podrażniony temi słowami, odparł uszczypliwie:

— Cóż miałem począć, gdy tamten lajdak uspił mnie zawczasu; co człowiek może, gdy ma głowę pełną chloroformu?... To wszystko jednak nie tłumaczy mi, drogi kolego, skąd pan miał pewność, że ten opryszek z ulicy Biot znajduje się tutaj?

— Oh, drogi przyjacielu, prosty wypadek... jedna z tych niejasnych wskazówek, które pomagają nam nie-rzad do rozwikłania najciemniejszych spraw...

— Lecz przecież...

— Tytoń, który pan pali... ma bardzo specjalny zapach... nie sprowadzają go do Francji i trzeba samemu sobie przywozić z Ameryki...

— A więc?

— Kilka okruszynek tego tytoniu znalazłem w hotelu na ulicy Biot...

— Tak, więc był pan przekonany, że zabójca z Nowego Jorku...

— Pasażer z „Starego Czarnego Psa“, a zarazem gość z hotelu „Księcia Portugalskiego“...

— Żyje ciągle i znajduje się na tym balu...

— Nie mogłem wątpić, że jest nim człowiek, który pali najspokojniej w tym salonie Brackmonds z Meksyku.

Słyszac to, Lapipe wyciągnął szybko z ust papierosa i spojrzał na zatarty przez pół złoty napis.

— „Brackmonds, Meksyk!“ — zawołał błędnie — lecz w takim razie...

— Co się stało?

— W hotelu pod „Nadzieją“...

— Dokąd pan przybył na pomoc baronowej Bristow...

— To pan wie wszystko? — zauważył ze złością inspektor.

— Co to panu szkodzi?... Lecz co dalej?

— Człowiek, który znikł tak tajemniczo po jej ocaleniu, nie pozostawił po sobie innego śladu, jak tylko zupełnie podobny kawałek papieru...

— W takim razie — wywnioskował flegmatycznie detektyw — jest to on... ten sam mandaryn, który poczęstował pana właśnie tym papierosem...

— I który potem poszedł pana uprzedzić...

— By zakpić z nas obu...

— Z pana, drogi Newtonie!...

— Czyż tak? — rzekł urażony detektyw — a jakizby miał w tem cel?

— Oh! Tego już nie wiem — odparł, śmiejąc się, inspektor — przecież ja nie szukałem zabójcy pani Aesthon.

Newton udał obrażonego. Uznał to jednak zaraz za bezcelowe. Wyjedzie wkrótce do Ameryki, nic go więc tutaj nie będzie obchodziło.

— Zdaje mi się, drogi kolego — odezwał się — iż zamiast dysputować, lepiej będzie, gdy postara się pan schwytać tego jegomościa!... Taki zuch, jak on, musi być bardzo ciekawy!...

— Był w zielonym kostymie?

— Z szklanymi guzikami... będzie to jednak dość trudne aresztowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).